

Wszyscy próbowali jej wmówić,
że powinna się go obawiać.

Bez przyszłości

Autorka bestsellerowej powieści *Ryzykowny pocałunek*

JULIA POPIEL



Copyright © 2023

Julia Popiel

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Anna Adamczyk

Korekta:

Agata Bogusławska

Karolina Piekarska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-414-7

JULIA POPIEL

BEZ PRZYSZŁOŚCI

OŚWIĘCIM 2023

*Dla tych, którzy stracili coś w życiu
i nie bali się tego odzyskać.*

W książce zamieszczony został wątek aresztu domowego. Zasady jego odbywania nie pokrywają się jednak z oficjalnymi zasadami odbywania aresztu domowego, wynikającymi z prawa ustanowionego przez władze Karoliny Południowej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wydarzenia zawarte w książce są fikcją, a wątek aresztu domowego został wykreowany przez autorkę.

Było życie przed Tobą i życie podczas Twojego istnienia. Z jakiegoś powodu nie myślałam, że mogłoby istnieć życie po Tobie.

Colleen Hoover, Reminders of Him. Częstka ciebie, którą znam

CZEŚĆ I

– Życie przed Tobą –

Rozdział 1

Marianne

„Witamy w Swansea!”

Zerkam na stojący po prawej stronie drogi znak z nazwą miejscowości, w której zupełnie samotnie zamierzam spędzić najbliższe półtora miesiąca, i mimowolnie zaciskam dłonie na kierownicy.

Nie wierzę, że naprawdę tu dotarłam.

Czuję, jak w dolnej części mojego brzucha wewnętrzności boleśnie się skręcają, a serce gwałtownie kołaczy w piersi, pobudzając w ten sposób wszystkie zwieńczenia nerwowe do żywiołowego tańca. Za każdym razem wystarcza to jedno choleryczne uderzenie, przez które mój mózg nagle zaczyna zalewać niezliczoną ilość myśli. Myśli, których wolałabym nie mieć, bo bez nich o wiele łatwiej byłoby mi przywyknąć do niecodziennej sytuacji, w której się znalazłam.

Wzdycham i zerkam kątem oka na prawie rozładowany telefon, a głos z nawigacji oznajmia, że za pięć minut znajdę się u celu swojej trzynastogodzinnej podróży, którą postaram się wymazać z pamięci, jak tylko odepnę pas bezpieczeństwa i postawię stopy na przydomowym podjeździe.

Teoretycznie trasa z Baltimore do Swansea powinna zająć mi mniej więcej osiem i pół godziny, nie wliczając w to przerw na odpoczynek i obżarstwo w przydrożnych fast foodach. Niestety nie przewidziałam dwugodzinnego korka za Richmond, w której wpieprzyłam się, zjeżdżając nieodpowiednim pasem z auto-

strady, oraz niespodziewanej wizyty u przydrożnego wulkanizatora, spowodowanej gwoździem wbitym w oponę.

Tak czy inaczej, sukces. Dotarłam do Karoliny Południowej. W potwornym upale, z niedziałającą klimatyzacją, kłębiącymi się w głowie wątpliwościami i bez realnej możliwości obrania drogi powrotnej do domu.

Gdy dostrzegam rozrzucone po obu stronach jezdni zabudowania, zmniejszam prędkość i oddycham z ulgą, zmęczona wymagającym ciągłego skupienia maratonem na stanowej autostradzie. Poruszam zeszywniałym karkiem i krzywię się w odpowiedzi na promieniujący aż do skroni ból.

Mijając stację benzynową, przypominam sobie strzępki informacji o Swansea, które udało mi się zdobyć zanim wyruszyłam w podróż. Wyszukanie za pomocą przeglądarki internetowej czegokolwiek interesującego o tej dziurze zabitej dechami (dosłownie, witryny co drugiego lokalu użytkowego zabezpieczają dechy oszpecone graffiti) graniczyło z cudem.

Poza zapoznaniem się z układem ulic, lokalizacją biblioteki, poczty i kościoła dowiedziałam się, że jest tutaj więcej stacji benzynowych niż sklepów spożywczych. Na początku wydawało mi się to dziwne, ale ostatecznie uznałam ten fakt za przydatny. Z pewnością będzie to plusem w chwili, w której będę chciała uciec stąd podczas niewątpliwie zbliżającego się załamania nerwowego, a bak w moim samochodzie okaże się pusty.

Przed przyjazdem pozwiedzałam trochę Swansea za pomocą zdjęć satelitarnych. Miałam nadzieję, że dzięki temu nie będę się czuła aż tak zagubiona, kiedy w końcu tutaj dotrę. Przez moje ciągle wielbienie się w rutynie i strach przed wszystkim, co nieznanne, za każdym razem, gdy docierało do mnie, że naprawdę spędzę samotnie ponad miesiąc z dala od domu, po moich plecach przechodziły ciarki.

Gdybym miała więcej czasu i pieniędzy na koncie, pewnie wybrałabym się do tego miasta już wcześniej tylko po to, żeby

sprawdzić, na której półce w najbliższym sklepie spożywczym stoją moje ulubione płatki śniadaniowe. Szkoda, że się nie udało, bo teraz, zanim pierwszy raz wyjdę do ludzi, będę musiała wziąć serię uspokajających wdechów.

Przejeżdżam obok ciągnących się szeregowo garażów, apteki i dwóch kolejnych stacji benzynowych, a na horyzoncie w końcu ukazuje się jedyna w miasteczku sygnalizacja świetlna.

Jest i ono!

Ścisłe centrum, a jednocześnie serce Swansea: malutki, zdobiony czerwoną cegłą placyk z niewielką fontanną na środku i powiewającą na maszcie flagą Stanów Zjednoczonych. Pewnie bym go przeoczyła, gdybym wcześniej nie wiedziała o jego istnieniu, ale tak, to by było na tyle. Reprezentatywna część miasta zaczyna się i kończy dokładnie w tym miejscu.

Nie wiem, czy to przez dobijające mnie zmęczenie, czy może panujący na zewnątrz gorąc kompletnie przegrzał styki w moim mózgu, ale nie mogę się powstrzymać i parskam śmiechem. Jego żalosne brzmienie jeszcze przez dłuższą chwilę obja się o tandetny plastik karoserii mojego samochodu.

Kolejny raz ciężko wzdycham i zgodnie z wydawanymi przez nawigację wskazówkami skręcam na skrzyżowaniu w prawo. Z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że miasteczko to sprawia wrażenie wyludnionego. Oprócz kilku mijających mnie pick-upów nie ma tu żywej duszy. Nie dostrzegam spacerujących z wózkami mam, wracających z porannej zmiany pracowników ani nawet bawiących się na gankach domów dzieci, choć przecież słoneczna pogoda sprzyja spędzaniu czasu na zewnątrz.

Ale czego ja się tak właściwie spodziewałam? Przecież to miejsce nie ma do zaoferowania niczego ciekawego.

Żywię jednak nadzieję, że zamieszkanie w Swansea znajduje się na szczycie listy czyichś marzeń, bo muszę sprzedać dom, przez który się tutaj znalazłam. I najlepiej gdybym dostała za

niego naprawdę porządną kasę, bo inaczej moja nowa rzeczywistość w Waszyngtonie legnie w gruzach, jeszcze zanim się rozpocznie.

Zjeżdżam z powrotem na drogę stanową, zostawiając za sobą płaski krajobraz miasteczka, a bujna zieleń otaczająca jezdnię z obu stron przypomina mi o znajdującym się w pobliżu jeziorze, które niewątpliwie dodaje uroku smutnej okolicy. Sam jego widok – ukazujący się po chwili moim oczom – sprawia, że natychmiast zapominam o odrapanych budynkach, zalanych asfaltem placach i grożących zawaleniem silosach. Złote promienie słoneczne odbijają się w tafli wody, która lekko faluje pod wpływem podmuchów wiatru, a na samą myśl o tym, jak przyjemnie byłoby się w niej teraz zanurzyć, zaczyna kręcić mi się w głowie.

Kiedy po kilkudziesięciu metrach skręcam w końcu w ulicę, przy której znajduje się upragniony cel mojej podróży, kalkuluje szybko w głowie, ile zajęłoby mi piesze pokonanie drogi stąd do centrum miasteczka. Z moich obliczeń wynika, że więcej niż pół godziny. Wykrzywiam się, gdy uświadamiam sobie, że dodatkowo byłabym zmuszona iść poboczem, bo nie można tutaj liczyć na luksus, do jakich najwyraźniej zalicza się chodnik, a gdybym wybrała się na spacer po zmroku, przydrożne latarnie nie urczą mnie światłem.

Pot spływa mi strużkami wzdłuż kręgosłupa, włosy, które wydostały się z luźnego warkocza, lepią się do czoła, a w lewej nodze, napastującej przez ostatnie trzynaście godzin sprzęgło, chyba tracę już czucie, więc kiedy głos nawigacji w końcu oznajmia, że dotarłam na miejsce, zjeżdżam do prawej krawędzi jezdni, zaciągam wściekle ręczny i pozwalam sobie opaść z sił. Chcę oprzeć czoło o kierownicę, ale robię to trochę zbyt gwałtownie, przez co nagle bębenki moich uszu rozrywa wściekle wycie klaksonu, a ja podskakuję wystraszona w fotelu, uderzając polityką w zagłówek.

Niech to szlag!

Krzywię się i z grymasem na twarzy rozmasowuję bolące miejsce, a jęk wymykający się spomiędzy moich ust idealnie odzwierciedla stan irytacji, w którym aktualnie się znajduję. Wiem, że powinnam stąd wysiąść i się rozejrzeć, ale najchętniej zostałabym już na zawsze w aucie, bo daje mi ono złudne poczucie bezpieczeństwa. Przytykam więc oczy i biorę kilka głębokich wdechów, próbując odnaleźć w sobie odwagę do zmierzenia się ze swoją nową rzeczywistością.

Cholera, przecież nie mogę tutaj siedzieć w nieskończoność – myślę i niechętnie obracam głowę, a mój wzrok zatrzymuje się na wybudowanym w wiktoriańskim stylu domu, którego elewacja ma kolor kanarkowej zieleni. Kiedy przyglądałam mu się wcześniej na zdjęciach satelitarnych, stwierdziłam, że jest całkiem uroczy, ale teraz, widząc go na żywo, dochodzę do wniosku, że fotografie zostały wykonane najwyraźniej dobrych kilka lat temu.

Zagryzam dolną wargę, wyczuwając pod zębami jej drżenie. Nie jestem pewna, czy w związku z towarzyszącym mi poczuciem bezradności powinnam się rozpłakać, czy może raczej kolejny raz głośno roześmiać.

Pierwsze, co przykuwa moją uwagę, to przeraźliwie długa trawa, zasuszone rabaty kwiatowe i wysypany kamieniem podjazd, przegrywający walkę z obrastającymi go z każdej strony chwastami. Domyśliłabym się, że od dawna nikt tutaj nie mieszka, nawet gdybym wcześniej o tym nie wiedziała. Uśmiecham się na widok opuszczonej werandy. Z daleka dostrzegam na niej bujającą się na cienkich łańcuszkach dwuosobową huśtawkę i nieświadomie zaczynam już sobie nawet wyobrażać, jak każdego ranka, z wyciągniętymi przed siebie nogami, sączę na niej kawę, wygrzewając się w słońcu.

Pomalowane białą farbą framugi okien i drzwi wejściowe, tego samego koloru kolumny podpierające daszek oraz prowadzące na werandę drewniane schodki przypominają mi scenografię z filmów o Beethovenie, które oglądałyśmy wspólnie z siostrą,

gdy byliśmy dziećmi. I co z tego, że w niektórych miejscach farba płatami odchodzi od ścian, a deski podłogowe są pofałdowane od nadmiernej wilgoci. W tej chwili sama perspektywa spędzania czasu na świeżym powietrzu w tak pięknych okolicznościach przyrody dodaje mi otuchy.

Jestem niewdzięczna.

Wiem, że marudzę, bo jestem zmęczona, ale nawet mimo tego zaczynam czuć dyskomfort przez rodzące się we mnie wyrzuty sumienia. W końcu dostałam ten dom w prezencie od zupełnie obcej kobiety, a zamiast się nim cieszyć, zachowuję się, jak gdyby w spadku przekazano mi niespłacone raty kredytu.

Iris... *Moja babcia.* Przecież ona wcale nie musiała zostawiać go akurat mnie. Mogła zrobić z nim wszystko, a jednak przepisała go na mnie, nie mając pojęcia, czy w ogóle na to zasługuje.

– Weź się w garść, Coleman – mamroczę pod nosem, po czym odpinam pas i nie myśląc już o niczym więcej, wysiadam z samochodu. Kiedy stoję na prostych nogach, wyciągam wysoko ręce i rozprostowuję ścierpnięte kończyny.

Na pierwszy rzut oka okolica wydaje się spokojna, co pewnie będzie miało swoje plusy i minusy, jak wszystko.

Z jednej strony wszechobecna zieleń łagodzi odrobinę przesładający mnie stres związany z pojawieniem się w zupełnie nieznanym miejscu, a jedno domostwo w sąsiedztwie oznacza przecież, że nie będę musiała chodzić jak ostatnia kretyńska od drzwi do drzwi, przedstawiając się każdemu z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Z drugiej jednak – dom znajduje się na totalnym zadupiu. Gdyby ktoś chciał mnie zamordować w mojej klitce w Baltimore, miałabym przynajmniej pewność, że sąsiedzi usłyszą roznoszące się po całej kamienicy wrzaski, a tutaj? Moją jedyną nadzieją będą ludzie zamieszkujący dom naprzeciwko. Na całe szczęście nie wygląda na opuszczony.

Obchodzę auto i sięgam po leżącą na miejscu pasażera torebkę, a następnie ruszam przed siebie wzdłuż wyłożonego kostką brukową chodnika. Kiedy stoję przed drzwiami, uświadamiam sobie, że moje dłonie trzęsą się, jakby temperatura nagle spadła poniżej zera. Wyciągam klucz z torebki, a później nieskutecznie próbuję trafić nim w zamek. Gdy w końcu mi się udaje, a zabezpieczenia puszczaają, popycham drzwi niepewnie i wstrzymując oddech, przekraczam próg. W pierwszej chwili mam wrażenie, że weszłam do domu, z którego ktoś kiedyś wyszedł i nigdy do niego nie wrócił, bo mimo iż zaniedbany ganek niemal od razu sugeruje, że nikt tutaj nie mieszka, wewnątrz w ogóle nie da się tego odczuć.

Na wieszaku, stojącym w lewym kącie przedpokoju, wisi żółta peleryna przeciwdeszczowa. O ścianę oparto czerwony parasol w białe groszki, a przy szafce z butami wciąż stoją czyjeś pluszowe kapcie. Podłogę holu zdobi długi dywan w kolorowe wzory, a nad przejściem rozdzielającym dwie części domu powieszono tablicę z napisem „Codziennie znajdź powód do uśmiechu”. Na jej widok kąciki moich ust mimowolnie się unoszą.

Ruszam przed siebie, ale po wykonaniu zaledwie kilku kroków znowu się zatrzymuję i wbijam wzrok w zamykane na zasuwkę drzwi pod schodami, które zapewne prowadzą do piwnicy. Na samą myśl, że miałabym samotnie zejść na dół, wzdłuż mojego kręgosłupa przechodzi dreszcz.

Po chwili jednak zbieram się na odwagę i maszeruję dalej, a dźwięk drewnianej podłogi, skrzypiącej pod podeszwami moich butów, sprawia, że wszystkie włoski na moim ciele stają dęba. Kiedy przystaję na środku połączonego z kuchnią salonu, zaczynam się zastanawiać, skąd tak naprawdę wzięły się wszystkie moje obawy. Wystrój wnętrza wcale nie sugeruje, że czeka na mnie w tym miejscu jakieś niebezpieczeństwo, a wręcz przeciwnie. Narzucony na kanapę koc z nadrukiem trojga uro-

czych kociąt zachęca, by nakryć się nim po same uszy, nie zważając nawet na panujący na zewnątrz upał.

Rozglądam się wokół, a mój wzrok przykuwają zasuszone paprotki, których chyba już nie da się odratować. Stojący pod ścianą telewizor kineskopowy wygląda jak pamiątka z ubiegłego wieku, a od liczby półek wypełnionych książkami, szafek, których zawartości nie mam odwagi sprawdzać, oraz szklanych witryn wypchanych przeróżnymi pierdołami czuję zawroty głowy. Koronkowe firanki przysłaniają zabrudzone smugami deszczu okna, a gdy przeciągam palcem po lakierowanej ławie, do opuszki przykleja się gruba warstwa kurzu.

Nawet mimo tych wyraźnych oznak zaniedbania, depcząc po pstrokatym dywanie, zastanawiam się, czy nie powinnam przypadkiem ściągnąć butów, bo wciąż czuję się trochę, jakbym przyszła do kogoś w odwiedziny. Jakby za chwilę ktoś miał wynurzyć się z kuchni i zaproponować mi herbatę.

Kręcę się po salonie, ale niczego nie dotykam. Trudno mi wbić sobie do głowy, że od teraz ten dom należy do mnie. Mam wrażenie, że naruszam czyjąś prywatności, i zupełnie nie wiem, jak sobie z tym poradzić, choć przecież zdaję sobie sprawę, że nikt tutaj nie wróci, bo poprzednia właścicielka domu nie żyje.

Kiedy na ustawionej w pobliżu okrągłego stołu komodzie dostrzegam stosik rozwiązanych krzyżówek, realność całej sytuacji uderza we mnie ze zdwojoną siłą. Przykładam dłoń do ust, ale nie udaje mi się powstrzymać wymykającego się spomiędzy nich cichego sapnięcia.

Przecież ja też uwielbiam rozwiązywać krzyżówki.

Chyba dopiero teraz dociera do mnie, że mieszkuję w domu osoby, z którą łączyły mnie więzy krwi. W domu, który kiedyś prawdopodobnie zamieszkiwał mój biologiczny ojciec i który aż do śmierci był oazą spokoju babci. To niesamowite, a jednocześnie przytłaczające.

Otoczanie się tymi wszystkimi osobistymi rzeczami z zerową wiedzą o ich właściciela sprawia, że czuję trudną do zwalczenia niemoc. A przecież przyjechałam tutaj, żeby przygotować dom do sprzedaży, więc będę musiała to wszystko dokładnie przejrzeć i posegregować, zdecydować, czego się pozbyć, a co „z sentymentu” zostawić dla siebie.

Moje tętno przyspiesza, a żyły zaczyna wypełniać panika.

Potrząsam głową i ruszam szybkim krokiem do kuchni, w której otwieram każdą z szafek, szarpiąc nerwowo za ich drzwiczki. Łapię za pierwszy lepszy kubek, który wpada mi w dłonie, a następnie napełniam go wodą, przykładam do ust i wypijam całą jego zawartość, nie dając sobie chwili na złapanie oddechu.

Rachunki. Pieprzone rachunki. To nimi powinnam się najpierw zająć – myślę, zdając sobie sprawę, że pewnie niedługo zostanę bez dostępu do wody.

Odszukuję wzrokiem najbliższy włącznik światła, a gdy nim pstrykam i nic się nie dzieje, wzdycham sfrustrowana. Jeżeli prędko nie wezmę się w garść, nie dość, że nie będę mogła naładować telefonu, to jeszcze pierwszy samotny wieczór w Swansea spędzę w zupełnej ciemności, co chyba jest najgorszym scenariuszem z możliwych.

Już prawie wychodzę z kuchni, gdy nagle kątem oka dostrzegam, że brama garażowa w sąsiednim domu zaczyna się unosić. Wyteżam wzrok, opieram pośladek o blat kuchenny i garbię się nieco, tak by mieć pewność, że nie widać mnie znad haftowanej firanki, umiejscowionej w dolnej części okna.

Wcześniej nie zwróciłam uwagi na to, że w domu sąsiadów są dwa garaże. Na jeden z nich w całości przerobiono parter. Część mieszkalna znajduje się wyłącznie na górze, o czym świadczą dobudowane po lewej stronie budynku schody i przeniesiona tam weranda. Równiutko przystrzyżona trawa sugeruje, że ktoś ma zdecydowanie zbyt wiele czasu na przeprowadzanie na niej zabiegów pielęgnacyjnych, zresztą tak samo jak połykający od

wosku czarny pick-up, przy którym mój leciwy ford prezentuje się marnie.

Marszczę czoło i skubię zębami wnętrze policzka, zastanawiając się, po co komuś, do cholery, dwa ogromne garaże. Wszystko staje się jasne, gdy brama w końcu całkiem się unosi, a ja dostrzegam sportowe auto rozebrane na części.

Ktoś najwyraźniej prowadzi w swoim domu warsztat.

Mrużę oczy, wyczekując czyjeś obecności, ale – ku mojemu niezadowoleniu – nikt się nie pojawia. Podchodzę więc do zlewu i napełniam kubek kolejną porcją wody. Kiedy wracam do okna i zauważam kręcącego się po warsztacie mężczyznę, o mało się nią nie zachłystuję.

Odruchowo padam na blat, jakby ktoś właśnie celował do mnie z karabinu maszynowego. Zaciagam się gwałtownie powietrzem, a następnie układam podbródek na płasko złożonych dłoniach i odgarniam kosmyki włosów z czoła, żeby mieć lepszy widok.

Facet krząta się w pobliżu zawalonego narzędziami roboczego stołu, a moje serce, nadpobudliwie uderzające o żebra, próbuje mi chyba przekazać, że niewątpliwie spodobał mi się widok góry mięśni opiętej przez białą podkoszulkę.

Mrugam kilka razy, a gdy mężczyzna sięga po jeden z kluczy francuskich, przytwierdzony do ściany, automatycznie zawieszam wzrok na jego kształtnych ramionach i wystającym bicepsie. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że wstrzymuję oddech, a moje zęby wpijają się w dolną wargę odrobinę zbyt boleśnie.

Chcę przyjrzeć się bliżej jego twarzy, ale z tej odległości widzę tylko ciemne, potargane włosy oraz ostro zarysowaną szczękę. Ponownie skupiam się więc na tych częściach ciała, które nawet z tak dużej odległości prezentują się doskonale. Szerokie jak pas startowy plecy i wyćwiczone barki, na których nawet mimo pod-

koszulka dostrzegam mięśnie, o których istnieniu w ludzkim ciele wcześniej nie miałam pojęcia.

Brunet nachyla się nad otwartą maską, a na jego czoło opadają kosmyki grzywki, którą zmierzwił dłonią chwilę wcześniej. Przeczesuje je palcami, ale i tak od razu wracają do tego samego, seksownie niechlujnego ułożenia. Nagle mężczyzna kieruje głowę w moją stronę, a jego wzrok zatrzymuje się w punkcie, z którego go obserwuję. Zastygam w miejscu.

Szlag!

Przestaję oddychać, a jedyne, co słyszę, to szum własnej krwi.

Dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, że nie dość, że dzieli nas około trzydziestu metrów, to w dodatku przez cały czas ukrywam się za firanką. To niemożliwe, by mnie dostrzegł. Być może po prostu dopiero teraz zorientował się, że pod domem stoi zaparkowany samochód i dlatego zaczął się rozglądać. Prawdopodobnie powinnam wyjść na zewnątrz i się z nim przywitać, ale nic nie poradzę na to, że jego wciąż lustrujące dom surowe spojrzenie nieumyślnie wprowadziło mnie w stan hipnozy.

Przeglądam się swojemu sąsiadowi, z całej siły próbując sobie przypomnieć, kogo mi przypomina, aż w końcu przed moimi oczami staje kapitan Danny Walker z filmu *Pearl Harbor*. Sama nie wiem, czym spowodowane jest to skojarzenie, ale sądzę, że może chodzić o jego obcisły, ubrudzony smarem podkoszulek, podobny do tego z kultowej sceny, która wyryła się w mojej pamięci lata temu.

Mężczyzna błądzi wzrokiem wokół mojego samochodu jeszcze przez chwilę, a później znika w głębi garażu i wraca do pracy. Wzdycham, gdy uświadamiam sobie, że przyszła pora, bym ja również zajęła się czymś pożytecznym. Przez półtora miesiąca mam do załatwienia tyle spraw, ile normalnie nie ogarnęłabym w pół roku, a znając moje szczęście, w międzyczasie pojawi się też wiele problemów, których w tej chwili nie jestem w stanie przewidzieć.

Odklejam się więc niechętnie od blatu i kontynuuję wycieczkę po domu. Kiedy stawiam stopę na pierwszym stopniu schodów prowadzących na piętro, do moich uszu dociera ich przeraźliwe skrzypienie, przybierające na sile przy każdym kolejnym stąpieniu.

W korytarzu na górze znajduję trzy pary drzwi, które prowadzą do sporej łazienki i dwóch pokoi. Na swoją sypialnię wybieram ten, w którym znajduję mniej dowodów czyjejś obecności. Wcześniej musiał on chyba pełnić rolę pokoju gościnnego, bo nie ma w nim nic poza dwuosobowym łóżkiem z rzeźbionym zagłówkiem i pustą szafą. Mój pobyt w sypialni babci trwa tyle, ile zajmuje mi otworenie drzwi i ich ponowne zamknięcie, czyli łącznie jakieś półtorej sekundy.

Po wstępnych oględzinach wracam na dół. Podchodzę do umieszczonych między holem a salonem przeszkłonych drzwi prowadzących na podwórze i przyciskam do nich nos.

Kilkadziesiąt metrów za płotem, między bujnymi sosnami a gąszczem niewysokich krzewów, dostrzegam zarośnięty staw. Wpatruję się rozmarzona w poruszające się na wietrze korony drzew i myślę o tym, że właśnie w takich okolicznościach człowiek naprawdę odpoczywa. Nie miałabym nic przeciwko, żeby na starość odciąć się od reszty świata w takim domu. Wciąż nie-stety nie wiem, dlaczego moja babcia umarła w samotności i jak w ogóle doszło do tego, że zostałam jej jedyną spadkobierczynią.

Co się stało z moim biologicznym ojcem, a jej synem?

Czy poza nim miała inne dzieci? Męża? Przyjaciół?

Nie znam odpowiedzi na te pytania. Miesiąc temu jeszcze nawet nie miałam pojęcia, że przez całe moje życie jedna z moich najbliższych krewnych zamieszkiwała miejscowość oddaloną tylko o osiem godzin od miasta, w którym się urodziłam i wychowałam. Wiedziała o moim istnieniu, ale nic z tym nie zrobiła przez całe dwadzieścia pięć lat mojego życia. Aż do swojej śmierci.

A ja? Czy chciałabym ją poznać, jeżeli dostałabym taką możliwość?

Oszukiwałamby samą siebie, zaprzeczając. W końcu gdy przeszłość sama zaczyna się o ciebie upominać, nie można jej tak po prostu zignorować.

Thomas Samuels. Tak nazywał się mój biologiczny ojciec i jest to jedna z niewielu informacji, jakie w zasadzie posiadam o nim nie tylko ja, ale i moja mama. Zaszła z nim w ciążę podczas jednej z szalonych studenckich nocy gdzieś na zapleczu pubu, w którym pracowała, a ja stałam się dowodem na prawdziwość felernego zapisu o skuteczności prezerwatyw wynoszącej wyłącznie dziewięćdziesiąt osiem procent.

Cóż, historia mojego poczęcia do romantycznych raczej nie należy, ale i tak chichoczę za każdym razem, gdy mama zaznacza, że świadczy to tylko o mojej wyjątkowości. Nigdy nie poddawała w wątpliwość tego, że chce mnie urodzić. Nie wystraszyła jej nawet perspektywa samotnego rodzicielstwa, a ja cholernie ją za to podziwiam, bo – szczerze mówiąc – sama nie wiem, co bym zrobiła, gdybym na trzecim roku studiów zaliczyła wpadkę.

Mama nie chciała odbierać Thomasowi prawa wyboru, więc znalazła go i poinformowała, że spodziewa się dziecka. Zasłonił się tym, że jest zbyt młody, by zostać ojcem i zrezygnował z odpowiedzialności, co ona zniosła z dumą. Nie wiem, skąd moja mama znalazła w sobie tyle siły. Wsparcia udzielili jej na szczęście nie tylko moi dziadkowie, ale również mój ojczym, którego poznała dwa lata po moich narodzinach. Zakochali się w sobie i kochają się aż do dziś, a ja już zawsze będę wdzięczna Owenowi za to, że był dla mnie cudownym tatą.

Nigdy nie szukałam swojego biologicznego ojca, bo żyłam w przekonaniu, że gdyby zależało mu na kontakcie ze mną, sam by mnie odnalazł. Teraz, gdy wiem już, że to nigdy się nie wydarzy, bo zgodnie z przekazanymi przez notariusza informacjami Iris nie miała poza mną innych żyjących spadkobierców, sama nie wiem, jak się z tym czuję.

Odwracam się od przeszkłonych drzwi, a przede mną wyraża moje lustrzane odbicie, na widok którego ledwo powstrzymuję się od wrzasku.

Podkrążone oczy, przyklapnięte włosy i wygniecione po podróży ubrania.

Nagle nachodzi mnie potrzeba, by wziąć kąpiel i przebrać się w świeże ciuchy. Jednak żeby móc to zrobić, muszę najpierw przywlec tu wszystkie rzeczy, które ze sobą przywiozłam.

Wyglądam dłońmi krótki top na ramiączkach, naciągam na tyłek dresowe szorty i wychodzę na zewnątrz. Zdążyłam już zapomnieć o obecności przystojnego sąsiada, którego obserwowałam przez okno jeszcze kilka minut temu.

Przypominam sobie o niej gdzieś w połowie drogi do swojego samochodu, gdy niespodziewanie wyczuwam na swoim ciele czyjś wzrok. Mimowolnie unoszę głowę, a wtedy nasze spojrzenia się krzyżują. Przystaję, a oddech grzęźnie mi w płucach.

Wpatrujemy się sobie w oczy, a moją skórę omiata wylewający się z jego tęczówek chłód, przez który nawet mimo dzielącej nas odległości przechodzą mnie ciarki. Przełykam ślinę, bo nagle z niezrozumiałego powodu zaschło mi w ustach.

Spojrzenie mężczyzny zaczyna niespiesznie przesuwac się po moim ciele, by po chwili wrócić do wywiercania dziury w mojej twarzy.

Zaciskam usta w wąską linię i mrużę lekko powieki, starając się doszukać w jego oczach jakiejkolwiek emocji. Nie odnajduję żadnej. Dopiero po kilku kolejnych sekundach dociera do mnie, że jeżeli za chwilę nie ruszę się z miejsca, weźmie mnie za wariatkę. Potrząsam więc głową, biorę głęboki wdech i wykonuję niepewny krok w jego stronę.

W końcu to tylko mój tymczasowy sąsiad. Co złego może się wydarzyć?